

Od autora: Znacie jakieś buty? A z którymś rozmawialiście? Nie? Czemu? Taki but może mieć całkiem ciekawą osobowość. Zapraszam do chodzenia (w butach) po Paryżu.

Rozmawiając z Butem

Fred zaczynał dzień dość wcześnie. W zasadzie w ogóle nie spał, przez co noce dłużyły mu się niezmierzenie. Starał się wtedy wyłączyć i pogрузić w świat fantazji. Marzył głównie o tym, aby grać w zespole jazzowym na gitarze basowej, co było dla niego zupełnie nieosiągalne i zdawał sobie z tego sprawę. Mimo to, im bardziej zdawał sobie z tego sprawę, tym częściej o tym marzył. Fantazjował oczywiście i o innych, bardziej przyziemnych rzeczach, jak nowe, czarne wiązania, czy większa półka na buty. Jeszcze o tym nie wiedział, ale niektóre z tych pragnień miały się ziścić podczas najbliższych świąt.

Ze snu, który przecież faktycznie nim nie był (choć o przebywaniu na jawie także nie mogło być mowy), wyrwał go Pier. Nie było żadnego dnia dobry, a jedynie delikatne szturchanie stopą.

- Wstawaj staruszk, już czas iść do pracy – powiedział cicho Pier.

- Taaak? – odparł Fred z ociąganiem.

Nawet nie zauważył nadchodzącego świtu. W swoich myślach właśnie odbywał tournée po Włoszech i nie był zbyt szczęśliwy, że musi je zakończyć. Rozejrzał się leniwie po przedpokoju oraz kawałku kuchni, który mógł zobaczyć ze swojego legowiska. Pier kończył pakować śniadanie. Fred zeskokczył z półki i poczłapał do swojej toalety. Znajdowała się ona tuż obok. Stanowiło ją kawałek szorstkiej wykładziny, o którą mógł wytrzeć swą podeszwę oraz przymocowana na stałe do ściany miękka szczotka i pojemnik na pastę do butów. Miał też do dyspozycji niewielkie, kieszonkowe lustro, w którym mógł zobaczyć, czy jest już wystarczająco przygotowany do wyjścia. Od niego zresztą zaczynał poranny ceremoniał. Przejrzał się z lewej i z prawej. Zauważył nieco zaschniętego błota prawie na samym końcu, koło obcasa. Odwrócił się do szczotki i zaczął się weń wycierać. Pier, który siedział już obok na stoliku i zakładał prawy but, uśmiechnął się. Ta czynność zawsze przywodziła mu na myśl szorowanie się ręcznikiem poniżej pleców.

- Gotowy? - zapytał.

Fred przejrzał się jeszcze raz w lustrze po czym odparł:

- Gotowy. Możemy iść.

Wskoczył Pierowi na stopę i sam zawiązał swoje sznurówki.

Szli teraz wąskimi, rzadko odwiedzanymi przez turystów uliczkami, w kierunku Montmartre. Obaj pra-

cowali na Place du Tertre. Teoretycznie jedynie Pier coś robił - był portrecistą - ale rozmowny but bez wątpienia ściągał klientelę.

Fred był brązowym, skórzanym i dość dystyngowanym półbutem. Zawsze chciał być czarny, gdyż takie buty wyglądały jeszcze bardziej dystyngowanie i dlatego używał dość ciemnej pasty. Stanowił swego rodzaju fenomen i zdawał sobie z tego sprawę. Nie pamiętał zbyt dobrze swego dzieciństwa. Jakies strzępy świadomości dochodziły do niego dopiero z dość niespokojnego okresu, który został potem nazwany drugą wojną światową. Jedyne wspomnienia jakie rysowały się w jego umyśle z tego czasu, wiązały się z niebezpieczeństwem. Raz o mało nie zginął pod walącą się ścianą, która przygniotła, jak podejrzewał, jego pierwszego „nosiciela”. Miał też w pamięci widok jakiegoś płonącego miasta oraz ogromny huk wydobywający się z okrętu którym chyba płynął.

Przez wiele lat nie odzywał się do nikogo, aż w końcu trafił na Mitula. Był z niego półkrwi Indianin i kawał drania, który często go wykorzystywał. Mimo to coś ich jednak łączyło. Uzmyslowił to sobie wtedy, kiedy postanowił pójść swoją drogą. Mitul nie miał może i zadatków na zbyt dobrego człowieka, ale jakoś rażniej było wałęsać się po Ameryce we dwójkę.

Potem spotykał jeszcze wielu ludzi. Z niektórymi na chwilę zostawał, inni nie chcieli się od niego odczepić. Kolejnego przyjaciela znalazł dopiero w Ashland, niewielkim, górskim miasteczku w stanie Oregon. Był koniec lat sześćdziesiątych i Piera nie było wtedy jeszcze na świecie. Tak naprawdę to Steva Nuggetsa poznał poprzez jego małżonkę Mary, która zwróciła na niego uwagę, gdy starał się zarobić parę dolarów stepując przy jednym z okolicznych sklepów. Nie wyglądał wtedy najlepiej, a jego sznurówki były w opłakanym stanie. Steve z początku nie chciał, jak się wyraził - Tego starego kapcia – ale z czasem obaj bardzo się polubili. Inaczej sprawa wyglądała z Mary. Jej początkowa sympatia – Do biednego bezdomnego bucika – poczęła kończyć się w momencie, w którym jej mąż zaczął poświęcać więcej czasu jemu niż jej. Mimo to z Nuggetsami spędził wiele wspaniałych lat.

Po śmierci żony, Fred namówił pogrążającego się w melancholii Steva, aby wyjechali do Europy. Miał to być początek nowego życia, które oderwałoby go od tak wielu rzeczy, jakie były związane z Mary w Ashland. Zamieszkali w Mennecy, niedaleko Paryża. Tam też poznał Piera. Był on dzieciakiem z sąsiedztwa, który lubił przychodzić do Steva, gdyż ten uczył go rysować. Rysowanie stanowiło jeden z niewykorzystanych w pełni talentów Steva. Sam nigdy nie zarabiał w ten sposób, chociaż z pewnością mógłby, gdyby życie potoczyło się dla niego trochę inaczej. Traktował on swe szkice głównie jako niezobowiązujące hobby. Dla Piera miało to stanowić w przyszłości główne źródło utrzymania.

Kilka lat temu Steve opuścił ten świat, zapisując Pierowi w testamencie swój stary, poczciwy but. Była to jednak czysta formalność, dokonana ze względów urzędowych.

I tak oto Fred i Pier dochodzili właśnie do miejsca swej pracy. Przywitali się z innymi portrecistami, którzy bywali tu codziennie, po czym rozstawili swój niewielki kramik, składający się głównie z dwóch, rozkładanych krzeseł oraz kilku naszkicowanych podobizn znanych osób i oczekiwali na chcących się sportretować turystów. Fred jeszcze raz sprawdził, czy sznurówki na pewno są zawiązane w elegancką kokardę.

Dzień był pogodny, prawie bezwietrzny, a słońce przyjemnie grzało twarz, czy też schowany za sznurówkami język. W momencie pojawiania się potencjalnych klientów, Fred zwykle zaczynał mówić niby to do Piera:

- Nie wiem po co marnujesz swój talent w takim miejscu. Człowiek z twoimi zdolnościami powinien wystawiać się w najznamienitszych galeriach, gdzie jego kunszt zostałby należycie doceniony.

Była to jedna z typowych gadek Freda, mających na celu przyciągnięcie ludzi. W rzeczywistości Pier nie miał większych szans na wystawianie się w najznamienitszych galeriach, ani też zbytnio tego nie pragnął. Jego miejsce było tutaj – na Montmartrze. Turystów także zwabiała nie tyle sama treść wypowiedzi Freda, co zaskakujący obrazek gadającego buta. Obaj doskonale o tym wiedzieli.

Tak czy inaczej nigdy nie narzekali na brak klientów. Niektórzy z nich przychodzili nawet kilkakrotnie, aby jeszcze raz usłyszeć but.

- No, no Pier, twoje dzieła są coraz lepsze. Ciekawe ile będą warte za parę lat? – Fred z głosem wytrawnego znawcy zachwalał kolejny obraz przed pozującą klientką, która nie mogła już doczekać się obejrzenia ów dzieła z sobą w roli głównej. – Madam, myślę że będzie pani oczarowana.

Sportretowane przez Piera osoby nigdy nie były zawiedzione. Po części z powodu całkiem dobrego warsztatu Piera, ale i z uwagi na komentarze Freda, które nastrajały bardzo pozytywnie osoby portretowane. W swym buim życiu napatrzył się już na tyle osób, iż bez większych trudności potrafił odgadnąć czego oczekują od drugiego człowieka, w tym od portrecisty.

- Myślę, że obraz ten oddaje cały pański charakter. – Tym razem zwracał się do grubego, amerykańskiego turysty w średnim wieku z założoną niedbale czarną, skórzaną kamizelką oraz niebieskich, lekko postrzępionych dzinsach. – Nikt nie powiedziałby, że został namalowany w Paryżu. Raczej podczas wyprawy w górę Amazonki. Prawdziwy twardziel.

Kolejny klient odszedł zadowolony, przyglądając się narysowanemu samemu sobie. Czas płynął, dochodziło południe.

- Czas na małą przerwę. – Pier wyjął z plecaka torebkę z cruasantami.

- Istotnie. – Fred rozluźnił nieco sznurówki, zeskoczył ze stopy i zaczął się rozciągać. – Nieco zeszywniałem. Mógłbyś trochę ruszać nogą podczas rysowania.

- Dobrze, jeśli chcesz.

Leki uśmiech pojawiał się na twarzy Piera. Znał Freda już tyle czasu, a przyglądając się niektórym jego czynnościom, nie mógł się nadziwić, iż faktycznie zna żywego buta. W dodatku but ten był bez wątpienia mądrzejszy swym doświadczeniem od niego.

- Bardzo dobrze znasz ludzi, wiesz? Prawie zawsze odgadujesz, co chcą zobaczyć w sobie na portrecie.

Fred spojrzał z ukosa, nie przerywając rozciągania.

- Niestety nie mogę powiedzieć tego samego o tobie. Znasz buty bardzo słabo. – I kiwnął języczkiem w kierunku prawej stopy Piera.

Znajdował się na niej prawy but. Był to zwykły adidas, mocno już zużyty i zdawał się nigdy nie być choćby lekko przetarty szmatką. Pier nie dbał o buty. Oczywiście z wyjątkiem Freda. W ogóle niezbyt dbał o swój strój, ale o buty szczególnie. Bardzo mu to odpowiadało. Uważał, że taki kontrast pomiędzy dwoma butami nie tylko zwraca uwagę, ale i podkreśla jego duszę artysty.

- Myślę, że znam potrzeby butów bardzo dobrze, ale mam po prostu inny styl, wymagający nieco poświęceń ze strony buta – zażartował Pier

- Właśnie po tym poznaję wasze charaktery. Przywiązujecie ogromne znaczenie do ubioru. Jakbyście chcieli nim przedstawić całe wasze wnętrze – Fred wpadł w profesorski ton.

- I kto to mówi? Panie elegancki.

- Ja to co innego. Jestem butem który nadaje się na przykład do garnituru i moim obowiązkiem jako takiego jest schludność. Wymaga tego także mój wiek. Poza tym, swego czasu poznałem co to znaczy być brudnym butem i nie chciałbym do tego wracać.

- Ok, ok, ale czy nie uważasz, że i ludzie czasami muszą się ubierać inaczej niż chcą?

- Nie tutaj. W tym miejscu często są daleko od domu, rozluźniają się i nie muszą udawać kogoś innego. – Fred rozejrzał się sentymentalnie dookoła. – W takich miejscach są naprawdę wolni.

- I w ogóle nikogo nie udają? – zapytał podchwytliwie Pier. Uwielbiał gdy Fred roztaczał przed nim swój czar doświadczonego obserwatora.

- Oczywiście, że udają! – Faktycznie było to dla Freda oczywiste. – Ich strój ma bardziej uwidaczniać ich tam gdzie tego pragną. Ale nawet jeśli, to gdzieś w nich musi tkwić ta część ich osobowości, która ich do tego skłania. Najprawdopodobniej gdyby mieli takie możliwości ułożyli by swe życie tak, że ów fragment byłaby głównym elementem ich charakteru. W ich podświadomości...

- Jaki zabawny bucik. To pański? – pewna wysoka pani przerwała wywód Freda.

Zniesmaczony Fred zmierzył ją wzrokiem. Był zupełnie samodzielnym butem, a nie czyjąś własnością. I jak można tak nieelegancko przerywać komuś zdanie?!

- „Wysoka i wyniosła” - pomyślał.

- To mój przyjaciel – poprawił Pier. – Pracujemy tutaj razem. Może zechce się pani sportretować?

- Ojej, ma pan przyjaciela bucika? Pewnie się nim pan opiekuje. To takie miłe – prawie zapiszczała ko-

bieta.

- „Wysoka, wyniosła i do tego idiotka”. – Analizował Fred, który był nadal nieco zły. Postanowił jednak zachowywać się profesjonalnie.

- Szanowna pani myślę, że ktoś o takiej urodzie powinien... co ja mówię, powinien, musi! Skorzystać z tej nadążającej się okazji, aby zostać uwiecznionym przez tego tu mistrza. – Głos Freda brzmiał nieco fałszywie, z lekką nutką ironii, której jednak kobieta nie wyczuła.

- Hi,hi,hi i jaki zabawny. A będę mogła z nim porozmawiać? – mimo przemowy Freda, cały czas zwracała się do Piera, jak do właściciela małego psiaka.

- Jeśli tylko będzie pani miała ochotę – odparł Pier z uśmiechem, po czy dodał, starając się udobruchać przyjaciela - Fred jest bardzo elokwentnym butem.

Kobieta przysiadła na krześle, stojącym naprzeciw Piera, a ręką pogłaskała Freda.

- „A niechże ją...” – myślał wzburzony Fred, ale na głos powiedział:

- Rozmowa z panią będzie prawdziwym wyzwaniem. – Znowu nie wychwyciła złośliwości w jego głosie.

Pier wyjął nową kartkę z tekturowej teczki, położył ją na drewnianej podkładce którą trzymał na kolanach i zaczął rysować. Wysoka kobieta traktowała Freda cały czas jak małego szczeniaka i wszelkie pytania, które go dotyczyły, kierowała do portrecisty. Jeśli w ogóle zwracała się do „milusiego bucika” to w tonie typu:

- Jaki masz ładny języczek. A pomierdasz sznuruweczkami dla pani?

Na początku Fred myślał, że pęknie ze złości, ale starał się zawsze nad sobą panować i nie chciał robić awantury na cały plac. Wyrzucał więc z siebie jedynie zdawkowe odpowiedzi lub zupełnie ignorował rozmówczynię. Ta zresztą zdawała się tym nie przejmować. Gadający but stanowił dla niej jedynie jedną z turystycznych atrakcji, o których zapomniała już po piętnastu minutach odkąd zniknęły z jej pola widzenia.

Tym czasem eleganci półbut, rozglądając się po okolicy, wypatrzył grupę biegających dzieciaków. Znał je z widzenia, bo często się tutaj bawiły. Musiały mieszkać niedaleko. Lubił patrzeć, jak gnają przez Place du Tertre śmiejąc się, a czasami kłócąc i zupełnie nie zważając na pracujących malarzy, czy potracanych niechcący turystów. Z rzadka ktoś na nie krzyknął albo nawet pogonił, ale po kilku dniach wracały jakby nic się nie stało. Zazdrościł im beztroski dzieciństwa.

- „Czy kiedykolwiek byłem dzieckiem?” - ponownie zadawał sobie w myśli pytania, na które nigdy nie potrafił znaleźć odpowiedzi. – „Odkąd pamiętam zawsze miałem ten sam rozmiar, ale czy to wystarczy, aby być dorosłym butem? Kiedyś na pewno byłem bardziej niedorosły.”

Jeden z chłopców podbiegł i przykucnął za pobliskim portrecistą. Widać była to związane z jakąś zabawą. Fred przypatrywał mu się, aż zwrócił jego uwagę. Chłopak zaczął przyglądać się butowi, a następnie

skierował wzrok na rysującego Piera, który siedział tyłem do niego. Po woli, coraz bardziej wychylał się ze swej kryjówki i zaczął przypatrywać się pilnie, tworzonemu portretowi.

- Ta pani wcale nie jest taka ładna, jak na tym obrazku – rzekł wreszcie z rozbijającą szarością.

Na te słowa Fred rozpromienił się wewnętrznym, ale na głos wyrwało mu się jedynie:

- Khym, khym.

Kobieta wybałuszyła oczy w pełnym zaskoczeniu. Z kolei Pier był nieco zakłopotany. Zawsze nieco retuszował portrety swoich klientów, usuwając z nich drobne niedoskonałości. Tym razem faktycznie musiał przyłożyć się nieco bardziej.

- Podczas rysowania kogoś, trzeba uchwycić nie tylko jego piękno zewnętrzne ale i duszę – powiedział w końcu z lekkim zażenowaniem.

Po minie chłopca widać było, że ta odpowiedź go nie usatysfakcjonowała. Pomogła natomiast kobiecie - przestała się wybałuszać i znów spokojnie oparła się o krzesło. Nie była już jednak tak swobodna jak poprzednio. Siedziała w milczeniu oczekując z niepokojem na efekt końcowy pozowania. Pier, lekko zaniepokojony sterczącym mu teraz nad ramieniem dzieciakiem, starał się skupić na rysowaniu, a jednocześnie obawiał się kolejnych, niespodziewanych uwag.

- „Nigdy nie wiadomo, co tym dzieciakom zaraz przyjdzie do głowy” – myślał.

Fred także nic nie mówił. Chętnie by zabrał głos w tej dyskusji, ale wiedział, że nie wypada wypowiadać zdania, które miał na ten temat. Chłopak tym czasem bacznie obserwował pracę Piera. Zapanowała trudna do zniesienia cisza. Cały plac żył pełnią dnia, wydając z siebie odgłosy rozmów, szurgotu stóp i pracy aparatów fotograficznych, ale wokół naszej grupki powstała swego rodzaju bariera. Odgradzała ich ona od wszelkich dźwięków i innych osób. Byli sami. Oni i ładniejszy od oryginału portret.

W pewnym momencie Pierowi zdawało się, że słyszy myśli dziecięcego obserwatora:

- „Zupełnie nie ona. A gdzie pieprzyk? A gdzie zmarszczki? Czemu włosy takie długie?”

Kotłowało mu się teraz w głowie.

- „Jak wybrnąć z tej sytuacji? Co mam odpowiedzieć na kolejny komentarz chłopaka?” – zupełnie już skupił się na nim i jego, czuł to, zbliżającej się wypowiedzi.

I wtedy stało się! Ręka poszła jakoś nie tak, drgnęła i pociągnęła linię nosa o wiele za daleko.

- Ale trąba! – krzyknął rozbawiony chłopiec i zaczął się głośno śmiać.

Fred rzucił spojrzenie w kierunku portretu, po czym mu zawtórował, starając się jednak hamować.

- He, he! – w myślach tłumaczył sobie - „Spokojnie, uspokój się.” – Uspokojenie nie nadchodziło. – He, he! – wyrwało mu się znowu. – „Spokojnie... hm... trąba!” – Ha ha ha ha ha! – nie wytrzymał w końcu.

Nie było trudno przewidzieć reakcji kobiety. Wstała, powiedziała coś o chamstwie i prostackim zachowaniu, po czym odwróciła się napięciem, dumnie wyprężyła głowę i odeszła. Chłopak i Fred już nie zwracali na to uwagi. Gdy jeden przestawał się śmiać, drugi zarażał go swoim rechotem. Pierowi nie było jednak do śmiechu. Nie dlatego żeby dotknęły go słowa kobiety, ale dawno już nie popełnił takiego błędu. Czuł się mocno zakłopotany. W dodatku koledzy, siedzący obok, sprowokowani wybuchem śmiechu, zaczęli dociekać co go wywołało, podchodzili, spoglądali z ukosa na niedokończony portret, po czym także uśmiechali się lekko i powracali do swojej pracy. Oczywiście nie przywiązywali do ów zdarzenia jakiegóż większej wagi. Pier jednak sądził, że właśnie mocno się skompromitował w lokalnym środowisku artystycznym. Pierwszy wyczuł to Fred.

- Spokojnie Pier. Nawet największymi czasami coś pójdzie nie tak. – Starał się być opanowany i rzeczowy, ale śmiech chłopaka sprawił, że poczuł, iż musi dodać. – Zresztą z tą trąbą niewiele mogłeś zrobić. Ha ha ha!

Widział, że Pierowi trochę ulżyło. Pomogły mu zwłaszcza słowa o tym, że nie był jedynym człowiekiem, któremu nie wyszedł rysunek.

- Dobra, muszę coś zjeść – oświadczył Pier po odrobinie namysłu.

- Dopiero co mieliśmy przerwę.

- Wiem, ale muszę zjeść coś solidnego. – Stanowczy Pier skierował wzrok w kierunku A La Mere Catherine. – A potem wziąć jeszcze coś na deser. Jean-Luc – zwrócił się do siedzącego najbliżej portrecisty – idę do Catherine i zostawiam graty. – Znajomy rysownik kiwnął porozumiewawczo głową, nie odrywając wzroku od kartki.

Fred wskoczył na lewą stopę swego przyjaciela, elegancko związał kokardę ze sznurówek i razem udali się do pobliskiej kafejki. Za nimi podążył chłopiec, a po chwili dołączyły do niego inne dzieciaki, zwabione wcześniejszymi śmiechami.

- Pan jest bardzo zabawnym butem – malec zwrócił się do Freda.

Ten, spojrzał na niego uważnie, pomiędzy kolejnymi krokami Piera. Zwykle ludzie nie traktowali go jako wypełni antonimiczną osobę przy pierwszym spotkaniu. I nawet jeśli zachowanie kobiety z trąbą było tego skrajnym przykładem, to mijało nieco czasu zanim nowopoznani przestali myśleć o nim „to”, a zaczęli „on”.

Doszli do kafejki i siedli przy jednym ze stolików w ogródku. Grupa dzieci stanęła obok przyglądając się im z uwagą. Przyszła kelnerka i przyjęła zamówienie od Piera. Fred patrzył na dzieciaki, a dzieciaki patrzyły na Freda. Pier patrzył na znikającą, zgrabną kelnerkę, a potem spojrzał na dzieciaki i poczuł, że taki tłumek przy ich stoliku to nieco krepujące mimo, iż dzieciaki wcale na niego nie patrzyły.

- O co chodzi maluchy? – zapytał w końcu Fred. Chciał wyjaśnić sytuację.
- Czy pan zawsze był butem? – zapytał chłopak który wcześniej nazwał go zabawnym.
- Odkąd pamiętam.

Po tej odpowiedzi dzieciaki stały się nieco śmielsze.

- To pana nie boli jak pan jest na nodze? – spytała rudowłosa, dziewczynka ze śmiesznymi warkoczykami.
- Nie, absolutnie nie boli – odparł spokojnie, po czym dodał. – W końcu przeznaczeniem buta jest być noszonym na stopie.

Po kolejnej odpowiedzi Freda, grupka urwisów już zupełnie nabrała przeświadczenia, że jest on nie groźny i na nich nie nakrzyczy. Był w ich oczach rozmownym panem butem. Jednym z tych czarodziejskich butów, o których czasami można przeczytać w bajkach tyle, że ten był prawdziwy.

- A jak się pan nazywa? – spytał ponownie znajomy już chłopak.
- Fred.
- A może pan chodzić bez tego drugiego pana? – spytał ktoś inny z grupki.
- Ile pan ma lat?
- Fajnie być butem?

Czasami ludzie zadawali mu podobne pytania, ale nigdy nie mnożyło się ich tyle na raz. Fred był w pełnym centrum uwagi, bez odrobiny Piera, który w tej chwili był dla tych maluchów zupełnie nieistotny. Nie wiedział, czy mu to odpowiada. Z jednej strony było to przyjemne uczucie – wreszcie ktoś interesuje się nim i tylko nim. I to w jaki sposób. Nie jest butem, jest... Panem Butem. Z drugiej, całe życie był dość skromny i nie nawykł do czegoś, co choćby trochę mogło przypominać blask jupiterów. Czuł się nieswojo.

- Mogę chodzić sam gdzie i kiedy chcę jak każdy z was. Mam już całkiem ładny wiek na karku. Nie mogę narzekać na mój buci los, w końcu jestem potrzebny – starał się nadążyć z odpowiedziami.

Dzieciaki jednak dopiero zaczynały zaspokajać swoją ciekawość.

- Czy każdy może być butem? – pytał wesoły blondynek.
- Głupi, musiałbyś się urodzić butem – wtrąciła się krótkowłosa dziewczynka i popukała się palcem w czoło.
- Skąd możesz wiedzieć, widziałaś kiedyś dziecko buta?

- Co trzeba robić jako but? – pytało jakieś inne dziecko.

- Ja też chcę być butem!!! – krzyczało jeszcze inne.

Fred nie ogarniał sytuacji, która zaczynała go przerastać. Co miał powiedzieć i komu? Sam nigdy nie widział małego buta. Poza tym kto z nich w ogóle o to zapytał? A kto odezwał się teraz? Czy ma odpowiedzieć na wcześniejsze pytania, czy też starać się nadążyć za najnowszymi? W poszukiwaniu pomocy spojrzął na Piera. Ten był wyraźnie rozbawiony sytuacją, ale nie zamierzał nic zrobić.

- „Przynajmniej wrócił mu humor” – pomyślał. – „Zaraz, czy ktoś mówił, że chciałby być butem?”

Tym czasem dzieciaki doszły do wniosku, że jak ten pan jest taki fajny to one też chcą być takie fajne, a to znaczy, że trzeba być butem.

- Niech nas pan nauczyc bycia butem.

- Nie wiem czy potrafię, ja nigdy nie próbowałem...

Starał się wytłumaczyć, ale dzieciaki go przekrzykiwały.

- Cisza! – Pier w końcu przyszedł mu z pomocą. Harmider ucichł. – Fred z chęcią nauczy was jak być dobrym butem, ale musicie mu dać dojść do słowa. Nie przekrzykujcie go bo sobie pójdzie.

Ta ostatnia uwaga zrobiła na gromadce silne wrażenie. Nikt już się nie odzywał.

- No Fred – kontynuował Pier – dalej pokaż tym maluchom jak żyje porządny but. – Porządny But wahał się jednak, więc Pier dodał. – Pomyśl, że taka okazja może ci się więcej nie trafić.

Faktycznie, bycie swego rodzaju nauczycielem dla dzieci nigdy mu się do tej pory nie przytrafiło, a czuł, że to go w pewien sposób pociąga. Było w tym coś z roli ojca, którym nawet nie wiedział czy może być. Istotnie, okazja mogła być niepowtarzalna. W chwili kiedy analizował sytuację, podeszła kelnerka i postawiła na stoliku tacę z czymś, co było mu trudno dojrzeć z dołu. Życzyła Peirowi smacznego i ponownie zniknęła w kafejce.

- Dobrze – zdecydował w końcu. – Ale odejźmy kawałek, by nie robić zamieszania.

Po czym zeskoczył ze stopy Piera i przeszedł kilka metrów. Dzieciaki podążyły za nim. Nagle odwrócił się na obcasie i dość surowym tonem powiedział:

- Więc przede wszystkim... – popatrzył po gromadce. Słuchali go z przejęciem. - Ustawcie się w szeregu.

Gromadka posłusznie wykonała polecenie po niewielkich przepychankach. Fred zaczął przechadzać się tam i z powrotem, lustrując zebranych zupełnie jak w wojsku. Taki miał zresztą zamiar. Jeśli ma nad nimi zapanować i coś wytłumaczyć, to musi zaprowadzić dyscyplinę i porządek. Widział jak to się robi w jakimś programie w telewizji. W końcu przemówił.

- Po pierwsze każdy but powinien wyglądać schludnie. – Spojrzał na dzieci, a te spojrzały po sobie. Co niektóre zaczęły coś poprawiać w swoim ubiorze. – Dobry but, to zadbany but, który osobie która go nosi nie przynosi wstydu. Zrozumiano? – spytał ostrzejszym tonem.

- Tak – odparły niektóre dzieci, a inne zaczęły potakiwać główkami.

- Dobrze. Czas na podstawowe zadanie każdego buta: chodzenie – zrobił pauzę i sprawdził, czy nadal jest słuchany. Był. – Myślicie, że chodzenie to taka prosta sprawa? Otóż nie. Trzeba nie tylko właściwie naprowadzać stopę na podłoże, ale i chronić ją. Kałuże czy błoto to tylko najdrobniejsze z przeszkód. A co byście powiedziały gdyby trzeba było własnym ciałem ochronić kogoś przed, dajmy na to, ostrym kawałkiem stłuczonej butelki?

- Przecież pan nie ma ciała tylko podeszwę – zauważyła ruda dziewczynka.

- Podeszwa to właśnie moje ciało – szybko wybrnął Fred. – Chociaż faktycznie jest ona dość odporna, tak jak na przykład wasze... wasze paznokcie. – „Uff”. – Nie czujecie wiele gdy się je obcina prawda?

Dzieciaki pokiwały głowami ze zrozumieniem.

- Podobnie jest z butem gdy wejdzie na szkło. – Rozejrzał się dookoła. – Dobrze, przećwiczmy może chodzenie. Gotowi? To za mną. – Fred ruszył, a za nim cała gromadka. – Pamiętajcie aby uważać jaką przyczepność dajecie stopom. Nie możecie się pośliznąć, bo nogi, a z nim reszta ciała, polegają na was.

Przeszli tak przez całą Norvins i skręcili w Rue Des Saules, a następnie St-Rustique. Dzieciaki precyzyjnie stawiały stopy, dokładnie oglądając miejsce przed następnym krokiem. Wyglądało to trochę jak pochód saperów, którzy baczą by nie wejść na minę i wzbudzało niemałe zainteresowanie przechodniów. Niektórzy z nich zatrzymywali się w zdziwieniu, inni przechodzili uśmiechając się wesoło. Tym czasem but dumnie prowadził swą drużynę, co jakiś czas udzielając cennych wskazówek na temat właściwego chodzenia. W końcu wrócili przed kafejkę w której Pier akurat kończył porcję lodów. Gromadka zebrała się dookoła Freda.

- Jak na początek to całkiem nieźle – podsumował.

- A co jeszcze oprócz chodzenia robią buty? – zapytał jakiś chłopiec z odstającymi uszami.

- Hm, no ja w wolnych chwilach lubię na przykład posłuchać muzyki.

- To tak jak ja – ucieszyła się ruda dziewczynka.

- No tak, ale to ludzkie zajęcie – „Uszaty” był dociekliwy. – A co jest typowym butowym zajęciem?

- „Typowo butowym zajęciem?” – kłopotał się w myślach Fred. – „Co jest typowo butowym zajęciem oprócz chodzenia?” – W końcu rzekł. – Szczerze mówiąc to nie wiem, czy oprócz chodzenia jest coś jeszcze bardziej butowego.

- A pańscy koledzy, buci, to też nie robią jakiś innych dziwnych, nieludzkich rzeczy?
- Niestety nie znam żadnego buta podobnego do mnie – westchnął Fred. Widać było, że raptownie posmutniał, choć starał się trzymać fason.

Był jedynym znanym sobie butem, który posiadał świadomość. Często czuł się zupełnie odosobniony w świecie ludzi. Zupełnie sam. Nie wiedział, czy faktycznie jest jedyny w swoim rodzaju, czy też jeszcze nie spotkał na swej drodze innych żyjących butów. Skrycie marzył, że ta druga możliwość jest bardziej realna. Raz, jedyny raz wydawało mu się, że widzi śmiejący się pantofel, rozmawiający z osobą która go właśnie nosiła. Scena ta trwała jedynie kilka sekund, a on obserwował całą sytuację jadąc w autobusie, spoglądając przez szybę w drzwiach. Pamiętał jak w pierwszej chwili widok ten zupełnie go sparaliżował, a zaraz potem chciał zatrzymać autobus, ale nie zdołał. Zdarzyło się to grubo ponad 20 lat temu, jeszcze w Stanach. Dzisiaj sam już nie wiedział, czy tylko mu się zdawało, czy też faktycznie widział kogoś podobnego do siebie. W każdym razie pozostała nadzieja.

Tym czasem dzieciaki posmutniały razem z nim, choć chyba bardziej ze względu na niefajną odpowiedź, która oznaczała, że nie będzie więcej niezwykłości, niż z powodu westchnień Freda.

- Nawet takich jak rodzice? – zapytał chłopiec który wymyślił trąbę.
- Nie – w głosie Freda czuć było gorycz.
- To nie pochodzi pan z żadnego buciego państwa?
- Niestety, jeśli takie istnieje, to nie wiem gdzie.
- Czyli zawsze był pan wśród ludzi?
- Odkąd pamiętam.
- To dlatego pan jest taki jak ludzie – wydedukował chłopiec

Fred spojrzał na niego z uwagą.

- Zachowuje się pan zupełnie jak każdy człowiek – kontynuował chłopiec. - Gdyby pan wyglądał inaczej to nikt by nie powiedział, że jest pan butem.

- Faktycznie, to możliwe – odparł po namyśle Fred. – Nigdy tak na to nie patrzyłem.

Chłopiec jednak nadal nad czymś myślał, a jego twarz przybrała filozoficzno-łobuzerski wygląd.

- Czy to oznacza, że gdybym ja wychował się wśród butów, to byłbym butem? – zapytał z błyskiem w oczach.
- „Sprytny dzieciak.” – Fred był pod wrażeniem swego młodego rozmówcy – Wydaje mi się to praw-

dopodobne.

- To głupota! – wtrąciła się ruda dziewczynka. – W takim razie mógłbyś być wszystkim. Nawet takim wieszakiem na ubrania.

- No tak, mógłbym być, jeśli moi rodzice byli by wieszakami – chłopiec podjął wyzwanie.

- I co, sterczałbyś tak całymi dniami z uniesionymi rękami i trzymał płaszcze? Już to widzę!

- Ja tam bym wolał być samochodem – z zadowoleniem powiedział uszaty. – Jeździłbym wtedy wszędzie i nie musiał mieć prawa jazdy.

Wkrótce wybuchła mała awantura o to kto i czym mógłby być oraz dlaczego. Dzieciaki przekrzykiwały się, wyśmiewały i przytaczały coraz bardziej absurdalne argumenty, nie zwracając już uwagi na Freda, który stał trochę z boku, pogrążony w we własnych myślach.

- „Kim jestem?” – pytanie to zadawał sobie już wiele razy ale, przynajmniej w pewnym zakresie, odpowiedź na nie wydawała się do tej pory prosta. Teraz to się zmieniło. – „Czy faktycznie jestem już człowiekiem uwięzionym w bućmy ciele? Czy gdybym spotkał „prawdziwe” buty to tak naprawdę należałbym do nich? Na pewno urodziłem się butem i byłem nim, ale co teraz?”.

- Wracamy do pracy? – Nad Fredem stanął Pier. Jego twarz była radosna.

Fred po woli spojrzał na niego. Lewa stopa była odziana jedynie w trochę naddartą, kolorową skarpetkę. Lekko uśmiechnął się na ten widok. Pier jednak już wcześniej dostrzegł, że jest przygnębiony.

- Dla mnie jesteś przede wszystkim moim najlepszym przyjacielem i nie dbam o to, czy wyglądasz jak but, człowiek czy... wieszak – powiedział zdecydowanym, pogodnym głosem.

- To nie takie proste... – Fred znowu utkwiał w zamyśleniu.

- Wiem. – Pier nieco spoważniał, ale zaraz, dużo żywiej dodał. – Chcesz, przejdziemy się do Sacre-Coeur. Zapalimy świeczkę. Turyści mogą poczekać.

Fred pogdybał chwilę, po czym po woli zaczął wracać do siebie.

- Dobrze więc, chodźmy – i wskoczył na stopę Piera. – Widzę, że lody pomogły – uśmiechnął się kpiarsko.

- Pomogły, pomogły. Jak będziemy wracać do domu to kupię ci nową pastę. Taką zapachową.

- Najlepiej ciemno brązową.

- Jasne.

Obaj ruszyli w kierunku kościoła. Lubili tam zachodzić. Zawsze można było zapalić świeczkę w jakiejś

intencji. Jak długo się paliły pozwalały mieć nadzieję.

Koniec

Więcej opowiadań można znaleźć tutaj: <http://bambararowo.blogspot.com/>

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

Falcor, dodano 13.10.2014 05:05

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.